Laura Bellini



Spóźnieni na własny pociąg

Nie wszystkie drogi prowadzą w tę samą stronę

Spóźnieni na własny pociąg

Nie wszystkie drogi prowadzą w tę samą stronę

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384901274

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Cena ostatniego przejazdu 11
Rozdział 2 - Między rozkładem a pragnieniem 23
Rozdział 3 - Tam, gdzie kończy się mapa 35
Rozdział 4 - To, czego nie zapisuje się w rozkładzie 46
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 58
Rozdział 6 - Chwila poza rozkładem 70
Rozdział 7 - Między bliskością a prawdą 81
Rozdział 8 - Po drugiej stronie torów 93
Rozdział 9 - Ostatni kurs przed ciszą 106
Rozdział 10 - Gdy przestajemy liczyć kilometry 118
Rozdział 11 - Bliskość ma swoje granice 129
Rozdział 12 - Dokument, którego brakowało 142
Rozdział 13 - Kiedy milczenie staje się decyzją 156
Rozdział 14 - Prawda, na którą trzeba zasłużyć 167
Rozdział 15 - Podpis pod decyzją 178
Rozdział 16 - Peron bez pożegnania 190
Rozdział 17 - Własnym głosem 200
Rozdział 18 - Cena ujawnienia 210
Rozdział 19 - Wszystkie drogi do prawdy 222
Rozdział 20 - Pociąg, na który zdążyliśmy 234

INTRO

Pociąg miał odjechać o siódmej czterdzieści dwie. O siódmej trzydzieści dziewięć stałam na peronie z kubkiem kawy, którego wieczko przeciekało, i patrzyłam na elektroniczną tablicę, jakby samo spojrzenie mogło zmusić wyświetlone cyfry do większej uprzejmości.

Od trzech lat nie spóźniłam się na żaden pociąg. Nie dlatego, że byłam wyjątkowo punktualna. Po prostu nauczyłam się zostawiać sobie margines bezpieczeństwa. Dwadzieścia minut na przesiadkę, dodatkowy dzień na nieprzewidziane opóźnienia, drugi plan na wypadek, gdyby pierwszy okazał się niemożliwy. W pracy autorki przewodników taka ostrożność uchodziła za profesjonalizm. W życiu prywatnym moja przyjaciółka Marta nazywała ją elegancko opakowanym lękiem przed niespodziankami.

Tego ranka w szwajcarskim Chur mój margines bezpieczeństwa wynosił trzy minuty.

— Proszę uważać.

Męski głos rozległ się tuż za mną. Cofnęłam łokieć, ale za późno. Kubek przechylił się niebezpiecznie, a brązowa strużka spłynęła po moim nadgarstku. Zaklęłam pod nosem.

Mężczyzna, który niemal na mnie wpadł, zatrzymał się pół kroku dalej. Miał ciemny płaszcz, lekko potargane włosy i skórzaną torbę przewieszoną przez ramię. Wyglądał na kogoś, kto zdążył już wypić swoją kawę i nie zamierzał przepraszać świata za własne istnienie.

— Nic pani nie jest? — zapytał.

— Poza tym, że właśnie straciłam połowę śniadania?

Spojrzał na mój kubek.

— Została pani druga połowa.

— Optymista.

— Raczej człowiek przywiązany do faktów.

Miałam ochotę odpowiedzieć czymś równie złośliwym, ale wtedy usłyszałam gwizdek. Odwróciłam głowę. Przy drzwiach ostatniego wagonu konduktor podnosił rękę.

Ruszyłam biegiem.

Mężczyzna ruszył razem ze mną.

Dopadliśmy wagonu dokładnie w chwili, gdy drzwi zaczęły się zamykać. Wcisnęłam przycisk, chociaż wiedziałam, że niczego to już nie zmieni. Przez szybę zobaczyłam odbicie własnej twarzy: ciemne włosy wysuwające się ze spięcia, czerwony szalik przekrzywiony na ramieniu i wyraz niedowierzania, którego nie potrafiłabym dobrze opisać nawet w najbardziej szczerym dzienniku podróży.

Pociąg drgnął.

Potem odjechał.

Przez kilka sekund słyszeliśmy tylko metaliczny stukot kół i cichy szum wiatru przeciskającego się między budynkami dworca.

— No pięknie — powiedziałam.

— Przyznaję, że trudno to nazwać udanym początkiem.

Odwróciłam się do niego.

— Gdyby nie pan...

— Gdyby nie ja, nadal stałaby pani nad rozkładem jazdy z kawą w ręku. Widziałem panią przez dobre dwie minuty.

— Obserwował mnie pan?

— Tablicę nad pani głową. Ale przyznaję, że pani dyskusja z zegarkiem była bardziej interesująca.

Nie powinnam była się uśmiechać. Zrobiłam to jednak, krótko i wbrew własnej irytacji.

Mężczyzna zauważył. Nie wykorzystał tego do kolejnej zaczepki, co zirytowało mnie jeszcze bardziej.

Wyjęłam telefon i otworzyłam zapisany harmonogram. Pierwszy dzień dokumentowania górskiej linii, która po zakończeniu sezonu miała zostać zamknięta. Trzy stacje, dwa wywiady, seria fotografii i ostatni dostępny kurs na najbardziej malowniczym odcinku. Wszystko ustalone z wyprzedzeniem, opłacone i potwierdzone. Za miesiąc redakcja oczekiwała ode mnie gotowego materiału do nowego przewodnika, a ja zamierzałam udowodnić, że po odejściu z dużego wydawnictwa potrafię realizować ambitne projekty bez niczyjej opieki.

Teraz pierwszy punkt planu oddalał się w stronę gór.

— Następny za godzinę i dwadzieścia minut — oznajmił mężczyzna, sprawdzając telefon. — Ale nie pojedzie tą samą trasą.

Spojrzałam na niego uważniej.

— Skąd pan wie?

— Zajmuję się trasami kolejowymi.

— Konduktor?

— Projektant.

Powiedział to bez cienia samochwalstwa. Jakby projektowanie linii przecinających góry było równie zwyczajne jak wybieranie pieczywa na śniadanie.

— To pewnie potrafi pan wyjaśnić, dlaczego rozkład jazdy został zmieniony dwa dni temu, chociaż na stronie przewoźnika nadal widniała stara godzina przesiadki.

Jego twarz spoważniała.

— Potrafię wyjaśnić kilka powodów. Nie wszystkie pani się spodobają.

Wyjął z torby złożony arkusz z oznaczeniami technicznymi. Zauważyłam na nim schemat linii prowadzącej przez dolinę, kilka czerwonych punktów i niewielki napis dotyczący oceny wariantów eksploatacyjnych. Zanim zdążyłam odczytać więcej, schował dokument pod notesem.

— Jedzie pani do Bergün? — zapytał.

— Między innymi.

— W takim razie możemy mieć podobny problem.

— Możemy?

— Ja również spóźniłem się na ten pociąg.

— To akurat zauważyłam.

Uśmiechnął się pierwszy raz naprawdę. Nie szeroko ani demonstracyjnie. Wystarczyło, żeby surowość jego twarzy ustąpiła miejsca czemuś znacznie bardziej niebezpiecznemu dla mojego spokoju: autentycznemu rozbawieniu.

— Hubert Maj — przedstawił się, wyciągając rękę.

Zawahałam się tylko przez chwilę.

— Izabela Markiewicz.

Jego dłoń była ciepła, uścisk zdecydowany, lecz krótki. Puścił moją rękę, zanim pomyślałam o odsunięciu własnej.

— Markiewicz… Pisze pani przewodniki?

— Zdarza mi się.

— Czytałem pani tekst o podróżowaniu bez samochodu po Dolnym Śląsku.

Zaskoczył mnie. Tamten artykuł należał do najbardziej osobistych rzeczy, jakie opublikowałam. Nie opisywałam w nim tylko połączeń i atrakcji. Pisałam o małych stacjach, na których ludzie witali się po imieniu, i o tym, że nie każde miejsce potrzebuje autostrady, żeby zasługiwać na odwiedziny.

— I co pan o nim sądził?

— Że zbyt łatwo wybacza pani kolejom opóźnienia.

Parsknęłam śmiechem.

— Właśnie stracił pan szansę na miłą rozmowę.

— Ale podobało mi się zdanie o tym, że z okna pociągu widać rzeczy, których kierowca nie zdąży zauważyć.

Nie odpowiedziałam od razu. Pamiętał zdanie, które napisałam późnym wieczorem, siedząc samotnie w wynajętym mieszkaniu i zastanawiając się, czy ktokolwiek jeszcze czyta podróżnicze teksty dla samej przyjemności podróżowania.

Hubert spojrzał w stronę pustych torów.

— Jeśli naprawdę zależy pani na udokumentowaniu tej trasy, istnieje inne połączenie. Wolniejsze, z przesiadką i krótkim odcinkiem autobusem. Zdąży pani przed południem.

— Pan również tam jedzie?

— Tak. Mam do sprawdzenia kilka punktów terenowych.

— Przypadek?

— Raczej dość mały świat. Zwłaszcza kiedy zamyka się w nim kolejne linie.

Ostatnie zdanie zabrzmiało inaczej. Ciszej, bez wcześniejszej swobody. Przez moment patrzył na góry, jakby wiedział o nich coś, czego nie chciał jeszcze powiedzieć.

Mogłam kupić nowy bilet, znaleźć połączenie i ruszyć sama. Dokładnie tak planowałam wszystkie podróże. Nie potrzebowałam obcego mężczyzny, nawet jeśli miał głos, którego słuchałoby się z przyjemnością przez wiele godzin, i wiedzę, która mogła uratować mi dzień.

Otworzyłam aplikację. Zaproponowana przez niego trasa rzeczywiście istniała, ale wymagała przesiadki na niewielkiej stacji, której nazwy wcześniej nie znałam.

— Poradzę sobie — powiedziałam.

— Nie wątpię.

Nie próbował mnie przekonywać. Skinął głową i ruszył ku przejściu podziemnemu.

Patrzyłam, jak oddala się spokojnym krokiem. Ciemny płaszcz poruszał się na wietrze, a skórzana torba uderzała lekko o jego biodro. Nie obejrzał się.

Wtedy zadzwonił telefon.

Na ekranie pojawiła się wiadomość od redaktorki: „Iza, pilne. Operator potwierdził wcześniejsze ograniczenie dostępu do części przystanków. Jeśli nie zbierzesz materiałów teraz, później może być za późno”.

Przeczytałam ją dwukrotnie. Przez chwilę miałam wrażenie, że wąski peron stał się jeszcze węższy, a góry otaczające dolinę przesunęły się bliżej.

Podniosłam wzrok. Hubert był już przy schodach.

— Panie Maju!

Zatrzymał się.

— Ten autobus — zawołałam. — Jest pan pewien, że zdążymy?

— Nie — odpowiedział. — Ale znam sposób, żeby zwiększyć nasze szanse.

Odwrócił się całkowicie i zaczekał.

Schowałam telefon, poprawiłam szalik i ruszyłam w jego stronę. Nie wiedziałam jeszcze, czy zamierzam mu zaufać. Wiedziałam tylko, że po raz pierwszy od bardzo dawna mój starannie przygotowany plan przestał być najważniejszą rzeczą na świecie.

Kiedy stanęłam obok Huberta, nie wskazał mi drogi. Po prostu zapytał:

— Gotowa?

Spojrzałam na jego twarz, potem na schody prowadzące pod torami.

— Na podróż? Tak.

— A na zmianę planów?

Nie odpowiedziałam.

Bo skąd miałam wiedzieć, czy bardziej bałam się spóźnić na kolejny pociąg, czy tego, że tym razem naprawdę chciałam dokądś pojechać z kimś obcym?

Rozdział 1 - Cena ostatniego przejazdu

Autobus pachniał mokrą wełną, kawą z automatu i czymś cytrusowym, prawdopodobnie środkiem do czyszczenia siedzeń. Za oknami przesuwały się zbocza porośnięte ciemnymi świerkami, a nad nimi wznosiły się góry, których szczyty znikały w nisko zawieszonych chmurach. Siedziałam przy oknie, trzymając na kolanach aparat fotograficzny i otwarty notes. Hubert zajął miejsce po drugiej stronie przejścia, zostawiając między nami przestrzeń, której nie musiałam bronić. Mimo to co kilka minut odrywałam wzrok od krajobrazu, żeby sprawdzić, czym się zajmuje. Przeglądał dokumenty na tablecie, czasami powiększał fragment mapy, czasami zapisywał coś rysikiem. W przeciwieństwie do mnie ani razu nie sprawdził godziny.

— Nie denerwuje pana, że jesteśmy spóźnieni? — zapytałam w końcu.

Podniósł głowę.

— Jesteśmy spóźnieni na pociąg, który już odjechał. Na następny jeszcze zdążymy.

— To nie jest odpowiedź.

— Wiem. Ale podejrzewam, że prawdziwa odpowiedź też pani nie zadowoli.

Zamknęłam notes.

— Proszę spróbować.

— Nie wszystko, na co się spóźniamy, jest stracone.

Powiedział to spokojnie, bez najmniejszej próby nadania słowom głębszego znaczenia. Właśnie dlatego przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie lubiłam ludzi, którzy

potrafili jednym zdaniem rozbroić starannie przygotowaną irytację. Jeszcze mniej lubiłam świadomości, że Hubert najwyraźniej nie musiał się szczególnie starać.

— Pan ma czterdzieści lat czy osiemdziesiąt? — zapytałam.

— Czterdzieści. Dlaczego?

— Bo brzmi pan jak człowiek, który już pogodził się ze wszystkimi rozczarowaniami świata.

Uśmiechnął się, ale tym razem w jego twarzy pojawiło się coś poważniejszego.

— Z większością. Resztą nadal się zajmuję.

Autobus zwolnił przed ostrym zakrętem. Za szybą zobaczyłam kamienny wiadukt przecinający dolinę kilkadziesiąt metrów nad rzeką. Wyjęłam aparat, lecz zanim ustawiłam ostrość, konstrukcja zniknęła za ścianą drzew.

— Cholera.

— To wiadukt Landwasser — powiedział Hubert. — Z pociągu zobaczy go pani znacznie lepiej.

— Z tego, na który się spóźniłam?

— Z następnego. O ile przestanie pani fotografować wszystko przez szybę autobusu.

Posłałam mu spojrzenie, które powinno zakończyć rozmowę. Zamiast tego Hubert wstał, podszedł do mnie i wskazał palcem niewielki punkt na mapie w moim notesie.

— Tutaj. Jeśli będzie pani jutro rano, światło padnie od strony doliny. Dziesięć minut po wschodzie słońca dostanie pani zdjęcie, którego nie zrobi żaden pasażer z wagonu.

Spojrzałam na zaznaczone miejsce.

— Nie ma tam przystanku.

— Jest ścieżka od drogi serwisowej.

— Dostępna publicznie?

— Do punktu widokowego tak. Dalej już nie.

Nie podobało mi się, że znał odpowiedź na każde pytanie. Jeszcze mniej podobało mi się, że jego wskazówka była dobra.

— Dziękuję — powiedziałam niechętnie.

— Proszę bardzo.

Wrócił na swoje miejsce, jakby nie oczekiwał żadnego dalszego ciągu. Ja natomiast przez następne kilka minut zastanawiałam się, dlaczego zauważyłam, że pachniał cedrem i chłodnym powietrzem.

Do Filisur dotarliśmy przed dziesiątą. Autobus zatrzymał się niedaleko niewielkiego dworca otoczonego górami. Powietrze było ostrzejsze niż w Chur, a słońce z trudem przedzierało się przez chmury. Na peronie stało zaledwie kilka osób. W oddali słychać było charakterystyczny metaliczny odgłos wagonów przetaczanych po sąsiednim torze.

Hubert wysiadł pierwszy, ale nie próbował przejąć mojego bagażu. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy zauważył, że przeglądam wiadomości.

Redaktorka przesłała kolejną informację. Lokalny przewoźnik przyspieszył harmonogram ograniczeń. Niektóre przystanki miały zostać wyłączone z ruchu wcześniej, niż wynikało z pierwotnego planu. Mój materiał przestał być zwykłym tekstem podróżniczym. Stawał się dokumentacją miejsc, które niedługo mogły zniknąć z rozkładu jazdy.

— Coś się stało? — zapytał Hubert.

— Zmiana terminów. Mam mniej czasu, niż zakładałam.

Wyjęłam wydrukowaną listę przystanków i rozłożyłam ją na ławce. Hubert zerknął na kartkę, ale nie nachylił się nad nią bez zaproszenia.

— Mogę? — zapytał.

Przez moment rozważałam odmowę. Następnie podałam mu listę.

Przeczytał ją szybko. Przy trzeciej nazwie zatrzymał palec.

— Tego punktu może pani nie zdążyć udokumentować.

— Dlaczego?

— Dostęp do peronu jest ograniczany przy pracach utrzymaniowych. W najbliższych dniach będą tam pomiary.

— Skąd pan wie?

— Zajmuję się analizą techniczną tej linii.

To była pierwsza odpowiedź, która naprawdę mnie zainteresowała.

— Czyli pracuje pan dla przewoźnika?

— Dla zespołu projektowego współpracującego z zarządcą infrastruktury.

— I jest pan tutaj służbowo?

— Tak.

Poczułam znajome ukłucie zawodowej ostrożności. Człowiek, którego jeszcze godzinę temu uważałam za przypadkowego współpasażera, miał dostęp do informacji dotyczących dokładnie tej trasy, którą próbowałam opisać.

— Co pan właściwie projektuje?

— Układy połączeń. Modernizacje. Warianty wykorzystania istniejących tras. Czasami również

rozwiązania dla linii, których utrzymanie staje się coraz trudniejsze.

— W tym ich zamykanie?

Hubert spojrzał na mnie uważnie.

— Projektowanie tras i podejmowanie decyzji o ich przyszłości to dwie różne rzeczy.

— Ale jedno wpływa na drugie.

— Oczywiście.

Nie zaprzeczył. Jego szczerość była jednocześnie ujmująca i niewystarczająca. Złożyłam mapę, czując, że rozmowa właśnie przestała być niewinną wymianą informacji między podróżnymi.

— Piszę o ludziach, którzy korzystają z tych połączeń — wyjaśniłam. — Nie tylko o widokach. Chcę pokazać, co naprawdę oznacza zamknięcie linii dla miejscowości, przez które przebiega.

— W takim razie powinna pani zobaczyć również dane dotyczące bezpieczeństwa i kosztów.

— O ile są rzetelne.

— Dane mogą być rzetelne, a interpretacje różne.

— Wygodne rozróżnienie.

— Konieczne.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Miał ciemnoszare oczy i drobne zmarszczki przy skroniach. Nie wyglądał na człowieka przyzwyczajonego do łatwych ustępstw. Ja również nie miałam takiego zamiaru.

— Proszę mi powiedzieć coś jeszcze — odezwałam się. — Gdyby musiał pan wybierać między utrzymaniem

malowniczej trasy a jej zamknięciem ze względów ekonomicznych, co by pan wybrał?

— Najpierw sprawdziłbym, czy to rzeczywiście jedyne dwie możliwości.

Ta odpowiedź mnie zaskoczyła.

— A jeśli tak?

— Wtedy musiałbym wiedzieć, kto poniesie koszty każdej z nich.

— Brzmi rozsądnie.

— Powiedziała pani to takim tonem, jakby rozsądek był wadą charakteru.

— Czasami jest. Zwłaszcza kiedy służy do usprawiedliwiania decyzji, których nikt nie chce wziąć na siebie.

Przez moment jego twarz pozostała nieruchoma.

— Z tym akurat trudno mi się nie zgodzić.

Z pobliskiego budynku wyszedł pracownik kolei w odblaskowej kamizelce. Zobaczywszy Huberta, uniósł rękę.

— Herr Maj! Die Unterlagen sind angekommen.

Hubert odpowiedział po niemiecku, krótko i rzeczowo. Mężczyzna wskazał drzwi pomieszczenia technicznego, a następnie spojrzał na mnie.

— Pani również jest z zespołu?

— Nie — odpowiedziałam, zanim Hubert zdążył otworzyć usta. — Pracuję niezależnie.

Pracownik skinął głową i odszedł.

— To ważne? — zapytał Hubert.

— Bardzo.

— Dobrze wiedzieć.

Jego spokojna reakcja wytrąciła mi z ręki argument, którego jeszcze nie zdążyłam sformułować.

Pociąg regionalny przyjechał dwadzieścia minut później. Tym razem weszłam do wagonu bez pośpiechu, zajmując miejsce przy dużym panoramicznym oknie. Hubert usiadł dwa rzędy dalej. Nie ustalaliśmy tego, po prostu każde z nas wybrało własną przestrzeń.

Kiedy skład ruszył, krajobraz otworzył się przed nami z taką gwałtownością, że zapomniałam o telefonie. Tory prowadziły po zboczu góry. Poniżej leżała dolina przecięta srebrną wstęgą rzeki, a po przeciwnej stronie wznosiły się jasne wapienne ściany. Nieliczne domy wyglądały jak rozsypane na zielonych stokach zabawki.

Robiłam zdjęcia, notowałam nazwy miejscowości i nagrywałam krótkie fragmenty dźwięku. Charakterystyczny rytm kół na łączeniach szyn, cichy szelest rozmów, trzask otwieranych drzwi. Chciałam zachować coś więcej niż obrazy. Dźwięk miejsca potrafił przywołać wspomnienie dokładniej niż fotografia.

Na niewielkiej stacji wysiadła starsza kobieta z koszem zakupów. Konduktor pomógł jej postawić go na peronie. Zanim pociąg ruszył, kobieta pomachała komuś z okna budynku stojącego naprzeciwko torów.

Zrobiłam zdjęcie dopiero wtedy, gdy upewniłam się, że nie fotografuję jej twarzy.

— Właśnie dlatego szkoda takich miejsc.

Hubert stanął obok mojego siedzenia. Nie zauważyłam, kiedy podszedł.

— Bo ludzie się znają? — zapytał.

— Bo kolej jest tutaj częścią codzienności. Nie atrakcją turystyczną.

— Dla niektórych rzeczywiście.

— Dla innych?

— Dla innych to droga infrastruktura wymagająca kosztownego utrzymania.

Odwróciłam się do niego.

— Musi pan wszystko sprowadzać do tabel?

— Nie. Ale pani też nie może sprowadzać wszystkiego do jednego wzruszającego obrazu.

Dotknął słowami miejsca, którego broniłam wyjątkowo zaciekle. Od lat walczyłam z przekonaniem, że teksty podróżnicze powinny być wyłącznie piękne. Że wystarczy zachód słońca, kilka klimatycznych kawiarni i chwytliwy tytuł. Tymczasem ja chciałam opisywać prawdziwe miejsca, także wtedy, gdy ich codzienność nie mieściła się w kolorowym folderze.

— Nie zna pan mojego sposobu pracy — odpowiedziałam.

— Znam jeden pani tekst.

— To nie wystarczy.

— W takim razie chętnie zobaczę więcej.

Powiedział to tak zwyczajnie, że dopiero po chwili zrozumiałam dwuznaczność. Hubert najwyraźniej też ją zauważył, bo kącik jego ust uniósł się nieznacznie.

— Materiałów — doprecyzował.

— Oczywiście.

— Chociaż pani argumentacja również wydaje się interesująca.

Tym razem uśmiechnęłam się bez oporu.

Pociąg wjechał na kamienny wiadukt. Przez okno zobaczyłam głęboką dolinę, a potem charakterystyczny łuk torów prowadzących prosto do tunelu wykutego w skale. Światło zmieniło się nagle, odbijając nasze sylwetki w szybie.

Przez krótką chwilę widziałam w niej nas oboje. Mnie z aparatem przy twarzy, jego stojącego obok, pochylonego lekko, żeby nie zasłaniać widoku.

Wyglądaliśmy niemal znajomo.

Ta myśl przyszła niespodziewanie i równie szybko ją odsunęłam.

W Bergün czekał na mnie umówiony rozmówca, właściciel niewielkiego pensjonatu. Miałam czterdzieści minut, zanim musiałam wrócić na kolejny pociąg. Hubert również wysiadł, ale skierował się w stronę budynku technicznego przy końcu peronu.

— Do zobaczenia? — zapytał.

— To zależy, czy znowu zamierza pan kwestionować moje metody pracy.

— Tylko jeśli znajdę ku temu powód.

— W takim razie raczej się zobaczymy.

Skinął głową. Przez moment wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz ostatecznie odszedł.

Wywiad odbył się w niewielkiej sali jadalnej pachnącej świeżym chlebem. Właściciel pensjonatu, pan Reto, opowiadał o turystach, którzy przyjeżdżali pociągiem tylko po to, żeby przejść się przez miasteczko i wypić kawę. Mówił również o pracownikach sezonowych, młodych ludziach dojeżdżających do szkoły i starszych

mieszkańcach, dla których autobus był znacznie mniej wygodny.

— Oni pokazują nam liczby — powiedział w pewnej chwili. — Ilu pasażerów, jakie koszty, ile trzeba naprawić. Ale kiedy pytam, jak moja matka ma dojechać zimą do lekarza, nikt nie potrafi odpowiedzieć.

Zanotowałam jego słowa dokładnie.

— Kto pokazuje wam te liczby?

— Ludzie od projektu. Byli tutaj wiosną. Potem przysłali dokumenty.

— Mogę je zobaczyć?

Reto zawahał się.

— Nie mam pełnej wersji. Tylko podsumowanie.

Wyjął z szuflady kilka kartek. Na pierwszej widniało zestawienie wariantów przyszłego funkcjonowania trasy. Jeden z nich oznaczono jako rekomendowany, ale szczegółowych załączników nie dołączono.

Zrobiłam zdjęcia po uzyskaniu jego zgody.

— Rozmawiał pan z autorami? — zapytałam.

— Z kilkoma osobami. Pamiętam kobietę, która bardzo dużo notowała. I mężczyznę, który pytał o zimowe utrzymanie torów. Nie pamiętam nazwisk.

Przed wyjściem obiecałam przesłać mu gotowy artykuł. W drzwiach zatrzymałam się jeszcze, słysząc za plecami jego głos.

— Pani Markiewicz? Proszę nie pisać tylko o tym, jak pięknie tu jest.

Odwróciłam się.

— Nie zamierzam.

Kiedy wróciłam na stację, Hubert stał przy tablicy informacyjnej, rozmawiając przez telefon. Mówił po polsku, cicho i stanowczo.

— Nie możemy traktować wszystkich odcinków tak samo. Dane sezonowe nie pokazują całego obciążenia.

Zauważył mnie i zakończył rozmowę.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Właśnie usłyszałam coś, czego nie ma w oficjalnym opisie tej trasy.

— To zwykle najciekawsza część pracy.

Spojrzałam na niego.

— Pan też o tym wie?

— O czym konkretnie?

— Że liczby nie zawsze pokazują, jak ludzie naprawdę żyją.

Przez chwilę patrzył na mnie bez uśmiechu.

— Wiem.

W jego głosie zabrzmiało coś, czego nie umiałam jeszcze nazwać.

— W takim razie może powinien pan mi pomóc — powiedziałam, zanim zdążyłam rozważyć wszystkie konsekwencje.

Uniósł brwi.

— W czym?

— W zrozumieniu tej trasy. Nie tylko jako krajobrazu i nie tylko jako projektu technicznego. Chcę wiedzieć, czego nie dostrzegam.

Hubert zerknął na zegarek, a potem na zamykające się za ostatnim pasażerem drzwi pociągu stojącego przy peronie.

— Mogę — odpowiedział. — Ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Nie będzie pani zakładała, że każde rozwiązanie techniczne jest wrogiem ludzi, którzy tu mieszkają.

Przyglądałam mu się przez kilka sekund.

— A pan nie będzie zakładał, że każda historia człowieka jest tylko anegdotą, której nie da się wpisać do tabeli.

Uśmiechnął się powoli.

— To uczciwy układ.

Nie podaliśmy sobie rąk. Nie było takiej potrzeby.

Staliśmy naprzeciwko siebie na małym alpejskim peronie, podczas gdy pociąg odjeżdżał w stronę tunelu. Miałam świadomość, że właśnie zgodziłam się na coś, czego jeszcze rano nie przewidywał żaden punkt mojego harmonogramu.

I że tym razem nie chodziło wyłącznie o podróż.

Rozdział 2 - Między rozkładem a pragnieniem

Nazajutrz rano obudził mnie dźwięk dzwonów kościelnych i zapach kawy dochodzący z parteru pensjonatu. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Drewniany sufit, ciężkie zasłony i widok ośnieżonych szczytów za oknem przypomniały mi, że poprzedniego wieczoru zdecydowałam się zostać w Bergün zamiast wracać do większego hotelu w Chur.

Była szósta dwadzieścia. Na stoliku leżał notes z zapisanymi pytaniami, a obok telefon z wiadomością od Huberta.

„Punkt widokowy będzie dostępny od siódmej. Jeśli chce pani zrobić zdjęcia przed nadejściem chmur, warto wyjść wcześniej. Nie musimy iść razem".

Przeczytałam wiadomość dwukrotnie.

Ostatnie zdanie było charakterystyczne. Hubert umiał zaproponować pomoc w sposób, który nie wymagał wdzięczności. Nie nalegał, nie pytał, czy się zgadzam, i nie próbował wykorzystywać swojej wiedzy do kierowania moimi decyzjami.

Odpisałam: „Będę o siódmej. Ale jeśli znów zacznie pan wykład o kosztach utrzymania infrastruktury, zostawię pana w górach".

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

„Przyjmuję ryzyko zawodowe".

Uśmiechnęłam się do ekranu, zanim zdążyłam sobie przypomnieć, że mam trzydzieści sześć lat, ważny kontrakt

do zrealizowania i bardzo mało czasu na znajomości z mężczyznami spotkanymi przypadkiem na dworcu.

Przed pensjonatem czekał na mnie chłód, który natychmiast przeniknął przez materiał płaszcza. Hubert stał kilka metrów dalej, oparty o niski kamienny mur. Miał ciemną kurtkę, szary sweter i termos w dłoni. Na mój widok wyprostował się.

— Dzień dobry.

— Dla kogo dobry, dla tego dobry. Jest siódma rano.

— W górach to już późno.

— W Warszawie o tej porze ludzie jeszcze udają, że nie słyszą budzika.

— Pani też?

— Ja prowadzę z nim negocjacje.

Podał mi drugi kubek z kawą. Zawahałam się.

— Skąd pan wiedział?

— Wczoraj wypiła pani dwie kawy przed południem. Pierwszą częściowo na własny nadgarstek.

— To brzmi niepokojąco szczegółowo.

— Mam dobrą pamięć do rzeczy, które powodują opóźnienia.

Wzięłam kubek. Kawa była mocna, gorzka i dokładnie taka, jakiej potrzebowałam.

Ruszyliśmy ścieżką prowadzącą ponad miasteczko. Pod butami chrzęścił drobny żwir, a powietrze pachniało wilgotną ziemią i drewnem. Hubert szedł obok mnie, dostosowując tempo bez zwracania na to uwagi. Co pewien czas wskazywał fragmenty konstrukcji kolejowej widoczne między drzewami, ale nie zasypywał mnie szczegółami.

Po kilkunastu minutach dotarliśmy do miejsca, z którego widać było zakręt torów, kamienny wiadukt i dolinę rozciągającą się daleko poniżej.

Zatrzymałam się.

Światło było niezwykłe. Słońce dopiero przebijało się przez chmury, oświetlając fragmenty zboczy miękkim, złotym blaskiem. Pociąg miał pojawić się za kilkanaście minut. Ustawiłam statyw, sprawdziłam ekspozycję i wybrałam kadr.

Hubert usiadł na pobliskim kamieniu.

— Nie będzie pan komentował? — zapytałam.

— Czego?

— Że ustawiam aparat niezgodnie z zasadami inżynierii.

— Nie znam się wystarczająco na fotografii, żeby udawać eksperta.

Spojrzałam na niego z uznaniem.

— To rzadko spotykana cecha.

— Przyznawanie się do niewiedzy?

— Zwłaszcza u mężczyzn.

Roześmiał się cicho.

— Mam czterdzieści lat. Zdążyłem się nauczyć, że nie trzeba znać odpowiedzi na wszystko.

— A czego jeszcze się pan nauczył?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Że dobrze zaprojektowana droga nie zawsze prowadzi tam, dokąd człowiek naprawdę chce dotrzeć.

Nie spodziewałam się takiego zdania. Spojrzałam na niego, ale Hubert obserwował dolinę.